

ZRABOWANE WYKORZENIONE



UPROOTED

(H)STORIES OF STOLEN CHILDREN
DURING WORLD WAR II

ZRABOWANE WYKORZENIONE

**LOSY DZIECI ODEBRANYCH
RODZINOM PRZEZ NIEMIECKIE
WŁADZE OKUPACYJNE PODCZAS
II WOJNY ŚWIATOWEJ**

Publikacja powstała w ramach projektu
„Uprooted – (Hi)Stories of Stolen Children during World War II”.

UPROOTED
(HI)STORIES OF STOLEN CHILDREN
DURING WORLD WAR II

Projekt jest finansowany przez Fundację Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość (EVZ) oraz Federalne Ministerstwo Finansów (BMF).

Niniejsza publikacja nie wyraża opinii Fundacji Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość (EVZ) ani Federalnego Ministerstwa Finansów (BMF).
Autorzy ponoszą odpowiedzialność za wszelkie zawarte w niej stwierdzenia.



© by Fundacja „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego, 2022

Redakcja
Tomasz Skonieczny

Korekta językowa
Joanna Rosik

Opracowanie typograficzne
Adam Kolenda

Na okładce
Zdjęcie dziewcząt ze Związku Dziewcząt Niemieckich z grupą dzieci.
Pochodzi z zasobu Narodowego Archiwum Cyfrowego.

SPIS TREŚCI

Wstęp

ANNA MALINOWSKA

„Dobra krew”. Lebensborn i kradzież „rasowo wartościowych” dzieci

KATARZYNA KACZOROWSKA

W większości nieodzyskane. Powojenne losy polskich „zrabowanych” dzieci

Autorki

WSTĘP

II wojna światowa była najtragiczniejszym wydarzeniem w dziejach XX wieku. Dziś, ponad siedemdziesiąt lat od jej zakończenia, zdawać by się mogło, że pokolenia historyczek i historyków dostarczyły nam dobrą, a wielokrotnie nawet bardzo dobrą, wiedzę na temat tego okresu. Wiemy zatem o przyczynach, które doprowadziły do wojny, znamy przebieg działań zbrojnych, potrafimy przedstawić politykę niemieckich oraz sowieckich władz okupacyjnych w poszczególnych krajach. Pamiętamy, a przynajmniej tak deklarujemy, o najważniejszych wydarzeniach, które rozegrały się podczas wojny, a które ukształtowały naszą wspólnotę narodową – jak m.in. Powstanie Warszawskie.

Historia II wojny światowej składa się jednak również i z tych elementów, o których świadomie zapominamy czy niemal instytucjonalnie, jako państwo, spychamy je w niepamięć, uznając, że nie są to momenty, do których chcemy wracać i na których chcemy budować naszą tożsamość. Żaden kraj w Europie nie może temu zaprzeczyć, twierdząc, że jest wyjątkiem.

W swej historii posiadamy jednak i takie wydarzenia, które nigdy nie stały się przedmiotem głębszego zainteresowania ze strony badaczek i badaczy, a tym samym próżno szukać poświęconych im opracowań czy publikacji popularyzujących. Nie stały się one też trwałą częścią składową pamięci zbiorowej – czyli naszego wspólnego wyobrażenia o przeszłości. Nie jest jednak prawdą, że są to wydarzenia nieznane, nieopisane, którym nie poświęcono choćby pomnika czy tablicy pamiątkowej. Wprost przeciwnie, na przestrzeni ponad siedemdziesięciu lat, które minęły od zakończenia wojny, wielokrotnie były one przywoływane, upamiętniane. Po prostu nigdy nie stały się integralną częścią opowieści, które na temat II wojny światowej opowiada sobie, za każdym razem na nowo, kolejne pokolenie.

Takim nie-pamiętanym elementem II wojny światowej jest historia 200 tysięcy polskich dzieci, które zostały odebrane rodzicom przez niemieckie władze okupacyjne i przekazane do niemieckich rodzin i instytucji wychowawczych. Dzieci, które, w myśl rasistowskiej ideologii przywódców Trzeciej Rzeszy, posiadały *dobrą* – aryjską – krew, a poddane germanizacji, mogłyby zasilić szeregi *rasy panów*. Ten zbrodniczy proceder władz nazistowskich zakończył się w 1945 roku, wraz z klęską wojenną Niemiec, miał jednak wieloletnie – trwające do dziś – konsekwencje. Pomimo zabiegów podejmowanych przez władze Polski, władze alianckie oraz Czerwony Krzyż jedynie nieliczne dzieci (szacuje się, że było to 10–15%) powróciły do ojczyzny, do biologicznych rodzin. O ile oczywiście rodzice lub krewni przeżyli wojnę. Znacząca większość z tych 200 tysięcy dzieci

pozostała u swoich przybranych, niemieckich rodziców. Świadczenia ich urodzin zostały bowiem sfałszowane, dokumenty mogące potwierdzić ich prawdziwe pochodzenie zniszczone. Jedynie nieliczni, już jako dorosłe osoby, wiele lat po wojnie, poznali prawdę o swoim pochodzeniu.

Historia zrabowanych i wykorzenionych dzieci była przez długie lata na marginesie naszych zainteresowań i wiedzy o II wojnie światowej. Na przestrzeni ostatniej dekady los tych dzieci został szczęśliwie przywołany w Polsce i Niemczech, między innymi dzięki zaangażowaniu dziennikarzy z obu krajów, którzy odkryli, że wiele spośród *zrabowanych dzieci* nadal żyje i jest gotowa podzielić się swoimi opowieściami. Przy tej okazji na jaw wyszło również, że świadomość tego tematu – szczególnie w Niemczech, gdzie żyje bądź do niedawna żyła większość z owych *zrabowanych dzieci*, ale również w Polsce – jest praktycznie żadna.

Pragnąc kontynuować tę pracę popularyzatorską, oddajemy w Państwa ręce publikację, mającą przybliżyć historię polskich *zrabowanych dzieci*. Składają się na nią dwa teksty. Pierwszy, autorstwa Anny Malinowskiej, pokazuje główne założenia niemieckiej polityki *kradzieży* dzieci z krajów okupowanych, omawiając je na przykładzie działalności *Lebensborn*, jednej z głównych nazistowskich organizacji, odpowiedzialnych za pozyskiwanie *rasowo odpowiednich* dzieci. Drugi, przygotowany przez Katarzynę Kaczorowską, opisuje powojenne próby restytucji *zrabowanych dzieci* do Polski oraz pokazuje, jak dziś,

w Polsce i Niemczech, podchodzi się – także w kwestii prawnej – do tych, już nie dzieci, a ludzi w bardzo podeszłym wieku.

Mamy nadzieję, że oba teksty staną się pretekstem, aby (ponownie) podjąć ten temat, jak i zastanowić się nad innymi przypadkami łamania praw człowieka, którego dopuszczają się władze państw totalitarnych i niedemokratycznych reżymów. Polityka odbierania dzieci nie była bowiem ani wymysłem nazistów, ani też nie na nich zakończył się w XX wieku ten zbrodniczy proceder – lecz jest realizowany do dziś.

Niniejsza publikacja powstała w ramach międzynarodowego projektu edukacyjnego *Uprooted – (Hi)Stories of Stolen Children during World War II*, realizowanego w Polsce, Niemczech, Czechach i Ukrainie, dzięki wsparciu Fundacji „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” (EVZ) oraz niemieckiego Federalnego Ministerstwa Finansów (BMF).

Równoległe do niej powstały trzy publikacje, pokazujące nazistowską politykę *kradzieży rasowo wartościowych* dzieci ze współczesnej niemieckiej, czeskiej i ukraińskiej perspektywy. Teksty te są dostępne w poszczególnych językach narodowych, jak również w tłumaczeniu na język angielski. Publikacje te, jak i więcej informacji na temat projektu, można znaleźć na stronie Fundacji „Krzyżowa” – www.krzyzowa.pl

Tomasz Skonieczny

Anna Malinowska

„DOBRA KREW”. LEBENSBOHN I KRADZIEŻ „RASOWO WARTOŚCIOWYCH” DZIECI

Po dojściu Adolfa Hitlera do władzy, wraz z początkiem III Rzeszy stało się jasne, że tezy ideologiczne narodowego socjalizmu, związane m.in. z czystością i wyższością rasy nordyckiej, można było wcielać w życie. Już w *Mein Kampf* Hitler twierdził, że niedocenywanie praw rasowych uniemożliwia zwycięski pochód najlepszej rasy i niweczy postęp człowieka, prowadząc go do poziomu bezbronnego zwierzęcia. Rzesza Niemiecka miała jako państwo objąć ogół Niemców, z zachowaniem w tym narodzie wszystkich najbardziej wartościowych rasowo elementów, ale i doprowadzić Hitlera stopniowo do władczej pozycji. Widział on tylko jedną drogę do zagwarantowania narodowi trwałości, potęgi i rozwoju – ścisłe przestrzeganie praw rasowych. Uważał, że naród, który lekceważy te prawa, czeka nieuchronna zagłada. Państwo narodowe miało obowiązek stawiać problem rasy w centrum życia społecznego, dbać o jej czystość, a dziecko uznać za najcenniejsze dobro narodu.

Człowiekiem całkowicie opętanym teoriami rasowymi i ideą *dobrej krwi* był Heinrich Himmler, jeden z najpotężniejszych ludzi III Rzeszy, szef SS, Gestapo, niemieckiej policji, minister spraw wewnętrznych. Jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy zarządził, że członkowie SS muszą uzyskiwać zgodę na zawarcie małżeństwa, co umożliwiałoby kontrolę doboru rasowego. W 1934 r. napisał do dowódców SS: *Wszyscy walczylibyśmy na próżno, jeśli zwycięstwa militarnego nie uzupełnimy zwycięstwem narodzin dobrej krwi.*

Himmler uważał, że rodzenie dzieci nie jest czyjąś prywatną sprawą, ale obowiązkiem wobec przodków i narodu. Parom, które nie mogły mieć dzieci, Himmler zalecał: *Każdy dowódca SS powinien zaadoptować wartościowe pod względem rasowym oraz genetycznym dzieci i wychowywać je w duchu narodowego socjalizmu.*

W 1935 r. Himmler powołał do życia instytucję Lebensborn (niem. *źródło życia*). Oficjalnie była to organizacja charytatywna, mająca pomagać niezamężnym matkom i ich nieślubnym dzieciom. Nie bez znaczenia dla okoliczności jej powstania była duża liczba aborcji przeprowadzanych w Niemczech (wykonywano je pokątnie, bowiem prawo tego zakazywało) oraz dzieci urodzonych ze związków pozamałżeńskich.

W latach 30. panna z dzieckiem ciągle stanowiła przykład niemoralnego prowadzenia i była skazana na społeczny ostracyzm. Lebensborn miał zapewnić samotnym matkom możliwość uniknięcia tej hańby. Po cichu,

w tajemnicy kobieta mogła wydać na świat pełnowartościowe, aryjskie dziecko, które odpowiednio indoktrynowane przez nowych rodziców miało wiernie służyć Führerowi. Oczywiście z dyskretnych usług Lebensbornu mogła skorzystać jedynie odpowiednia rasowo kobieta. Sprawdzano również aryjskość ojca. Przy czym nie bez znaczenia były przynależność do SS, NSDAP oraz narodowosocjalistyczny światopogląd.

Dla ciężarnych kobiet Lebensborn już niedługo po swoim powstaniu zaczął otwierać specjalne ośrodki, m.in. Hochland niedaleko Monachium, Harz w Wernigerode, Kurmak w Klosterheide czy Pommern w Bad Polzin (dzisiejszym Połczynie-Zdroju). Na pierwszy rzut oka wyglądały one jak dobrze wyposażone domy sanatoryjne czy też kliniki położnicze z wysoko przeszkolonym personelem. Pensjonariuszki takich domów tworzyły coś na kształt ideologicznej wspólnoty. Wspólnie słuchały radia – głównie przemówień Hitlera i Goebbelsa, – wspólnie śpiewały narodowe pieśni, specjalnie dla nich organizowano prelekcje, które miały *wychować młode matki na dobre, narodowe socjalistki*. We wszystkich domach Lebensbornu obowiązkowo odbywały się prelekcje na temat rasy i jej pielęgnowania, polityki ludnościowej, badania więzi rodowych oraz SS jako wspólnoty narodowej.

Wśród podopiecznych Lebensbornu dominowały kobiety pracujące: sekretarki, stenotypistki, księgowy, pracownicy biurowe, ekspedientki. Ojcowie dzieci w większości mieli wykształcenie wyższe, zajmowali kierownicze stanowiska albo byli naukowcami.

Jedną z najważniejszych uroczystości było nadanie imienia nowo narodzonemu dziecku. Była to właściwie zsekularyzowana forma chrześcijańskiego chrztu. Przy okazji dziecko oddawano pod opiekę *wspólnoty rodowej SS*. Pod popiersiem Hitlera ustawiano rzędy krzesel, na których zasiadały matki z dziećmi, pensjonariuszki, personel, esesmani. Grała muzyka, mistrz ceremonii zadawał pytania matce i chrzestnemu z SS tak jak ksiądz w kościele. Zdarzało się, że chrzestnym był sam Himmler. W punkcie kulminacyjnym na ciele dziecka kładziono sztylet. Wygłaszano też specjalne przemówienie, przywołując m.in. słowa Führera o tym, że każda kobieta, która darowuje narodowi dziecko, wraz z jego narodzeniem wygrywa bitwę o życie narodu.

Dzieci urodzone w ośrodkach Lebensborn trafiały do rodzin zastępczych lub adopcyjnych. Zdarzało się jednak, że matki po pewnym czasie zabierały je ze sobą. Wyjeżdżały do innego miasta, znajdowały pracę, stabilizację życiową i mogły się zająć dzieckiem, o którym nikt nie wiedział, że pochodzi z nieprawego łoża.

Czego więcej mogła chcieć kobieta, która miała wybór między nielegalną w III Rzeszy aborcją a życiem w potępieniu? Himmler, założyciel Lebensborn, był dumny ze swojego dzieła. Ale uczciwie trzeba przyznać, że nie kierowała nim troska o kobiety, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej. Dla Himmlera Lebensborn miał znaczenie wojskowo-polityczne. To ta instytucja miała zapewnić Wehrmachtowi stały dopływ żołnierzy. Miała produkować niebiesko-

okich blondynów i blondynki – stuprocentowo oddanych obywateli nowego, lepszego świata.

Po rozpoczęciu wojny Lebensborn rozpoczął aktywną działalność w krajach okupowanych. Tam również miały być pozyskiwane dzieci o *dobrej krwi*. Zorganizowaną germanizację rozpoczął Lebensborn w Rumunii, swoje ośrodki organizacja otworzyła w Norwegii, gdzie na świat zaczęły przychodzić dzieci ze związków między Norweżkami i niemieckimi żołnierzami, podobnie w Belgii, Holandii, Francji. Selekcję rasową przeszły również dzieci z czeskich Lidic, nim Niemcy zrównali miejscowość z ziemią.

Macki Lebensborn ze swoim drugim, zbrodniczym obliczem nie omięły też Polski.

* * *

Już 25 listopada 1939 r. Himmler otrzymał raport opracowany przez Urząd Rasowo-Polityczny NSDAP dotyczący dawnych ziem polskich włączonych do Rzeszy.

Znaczna część rasowo wartościowych, ale z narodowych względów niezdatnych do zniemczenia warstw polskiego narodu będzie musiała zostać wysiedlona na pozostały polski teren. Jednak należy próbować wyłączyć z przesiedlenia rasowo wartościowe dzieci i wychować

je w starej Rzeszy w odpowiednich zakładach wychowawczych. (...) Wchodzące w rachubę dzieci nie mogą liczyć więcej jak osiem do dziesięciu lat, ponieważ z reguły tylko do tego wieku możliwe jest prawdziwe przenarodowienie, tzw. ostateczne zniemczenie. Warunkiem jest całkowite zaprzestanie utrzymywania jakichkolwiek stosunków z ich polskimi krewnymi. Dzieci otrzymają niemieckie nazwiska, które także w źródłostowie muszą być jednoznacznie germańskie. Ich rodowód będzie prowadzony przez specjalną placówkę. Wszystkie rasowo wartościowe dzieci, których rodzice polegli na wojnie lub zmarli później, będą od razu przejęte przez niemieckie domy sierot. Z tego względu należy wydać zakaz adoptowania takich dzieci przez Polaków.

Akcja germanizacji dzieci obcych narodów stała się oczkiem w głowie Himmlera.

Wszelką dobrą krew – to jest pierwszym założeniem, o którym musicie pamiętać – gdziekolwiek ją na wschodzie napotkacie, możecie albo zdobyć, albo zabić. (...) Gdziekolwiek napotkacie dobrą krew, macie ją zdobyć dla Niemiec albo postarać się o to, by przestała istnieć. W żadnym wypadku nie może ona znajdować się po stronie naszych wrogów – mówił w przemówieniu do wyższych oficerów SS 16 września 1942 r.

Rok później w mowie o narodach słowiańskich w Bad Schachen Himmler zaznaczył:

Jest jasne, że w tej mieszaninie narodów pojawiać się będą zawsze pewne typy bardzo dobre pod względem rasowym. W tym wypadku – sędzę – naszym zadaniem jest zabrać ich dzieci do nas – oderwać od środowiska, choćbyśmy mieli dzieci te zabrać albo ukraść. Albo zdobędziemy dobrą krew, którą możemy spożytkować u siebie i wprzęgnąć w nasze szeregi, albo – moi panowie – możecie to nazwać okrucieństwem, ale natura jest okrutna – zniszczymy tę krew. Nie możemy usprawiedliwić przed naszymi synami i potomkami pozostawienia tej krwi po drugiej stronie.

Jak można było rozpoznać, czy dane dziecko *nadaje się*, ma w sobie *dobrą krew*? W tym celu naziści prowadzili badania rasowe. Jak wyglądało to w Polsce?

Na Śląsku prowadzenie badań nie były konieczne, bo tutejsza ludność uważana była za etnicznych Niemców. W tak zwanym Kraju Warty i na Pomorzu odbywała się selekcja rasowa. Dzieci szukano w zakładach opiekuńczych i rodzinach zastępczych. W Generalnej Guberni działalność skierowano przede wszystkim na dzieci rodzin pochodzenia niemieckiego, które nie zadeklarowały się jako folksdojczce, i wobec dzieci rozstrzelanych zakładników.

W uproszczeniu postępowaniem objęto następujące kategorie:

- Dzieci rodziców opierających się germanizowaniu. Chodzi tu przede wszystkim o osoby pochodzenia niemieckiego.

- Dzieci małżeństw mieszanych pod względem narodowościowym. Na terenach włączonych do Rzeszy za niepolską ludność uważano też Kaszubów, Ślązaków, Mazurów. Małżeństwa mieszane pozostawały pod stałą obserwacją, bo nie dawały gwarancji wychowania dziecka w duchu niemieckim. W razie stwierdzenia jakichkolwiek uchybień dziecko można było odebrać.
- Dzieci z rozwiedzionych małżeństw mieszanych. W przypadku orzeczenia rozwodu lub unieważnienia małżeństwa polskiego rodzica pozbawiano zawsze prawa opieki nad dzieckiem. Również w przypadku wcześniej zawartych rozwodów przeprowadzano rewizję i przyznawano opiekę rodzicowi niemieckiemu.
- Dzieci przebywające w zakładach opiekuńczych. To była najłatwiejsza droga pozyskiwania dzieci cennych rasowo. Funkcjonariusze mogli po prostu wejść i wybrać dzieci, które uznali za nadające się.
- Dzieci przebywające w rodzinach zastępczych. Procedura odbierania była stosunkowo prosta. Aby nie wywołać zaniepokojenia u rodzin, należało je informować, że dzieci będą umieszczane w szkołach z internatem lub zakładach wypoczynkowych. Nie należało zabierać dzieci tym rodzicom zastępczym, które nadawały się do zniemczenia.
- Dzieci pozostające pod opieką polskich opiekunów.

- Dzieci rodziców deportowanych, pomordowanych lub wysiedlonych. Oczywiście kryterium rasowe było istotne, jednak w tym wypadku pod uwagę brano też same okoliczności osierocenia dzieci i obawę, że w przyszłości mogą się mścić za śmierć rodziców.
- Dzieci w obozach. W 1942 r. opracowano plany uruchomienia obozu koncentracyjnego dla małoletnich w Łodzi przy ulicy Przemysłowej wraz z filią w Dzierżąni. Przeciętnie w obozie było około tysiąca osób. Dzieci zabierano do obozu bez żadnych innych kryteriów jako *młodocianych przestępców*. Na Śląsku z kolei utworzono sieć Polenlagerów – obozów dla ludności polskiej. Były to obozy dla ludności wysiedlonej, która miała zrobić miejsce przesiedleńcom niemieckim. Spory odsetek w obozach stanowiły dzieci i młodzież, dlatego też obozy te były wizytowane przez komisje ekspertów rasowych.
- Dzieci urodzone w Niemczech lub odebrane w Niemczech. Do 1943 r. Niemcy nie podejmowali żadnych decyzji odnośnie do ciężarnych robotnic. Po 1943 r. mogły one poddać się aborcji. Zwłaszcza gdy ojciec dziecka nie miał germańskiego pochodzenia. Jednak w miarę coraz większych strat wojennych Niemcy zdecydowali się odbierać dzieci urodzone przez robotnice i wychować je jako dzieci niemieckie.
- Dzieci deportowane na roboty. Do Niemiec w czasie wojny wywieziono dziesiątki tysięcy dzieci i młodzieży. Deportacja miała pozy-

skąć potrzebną siłę roboczą, ale też umożliwić przysposabianie przez naród niemiecki rasowo cennych jednostek.

- Dzieci zabrane na podstawie zarządzeń specjalnych. W czasie akcji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie dzieci cenne rasowo trafiały pod opiekę Lebensbornu. W ramach akcji specjalnych wywozem objęte były też szkoły, na przykład we Lwowie, Radomiu czy Tomaszowie Mazowieckim. Zdarzały się ponadto sytuacje, że dzieci po prostu były rabowane z własnych domów, jeśli wpadły komu trzeba w oko, wydawały się *cenne rasowo*.

Badania rasowe przeprowadzali „eksperci”, którzy wypełniali specjalne formularze. Określano w nich dokładnie wielkość i kształt poszczególnych części ciała, kolor włosów i oczu. Do formularzy załączano fotografie dziecka w trzech pozach. Przeprowadzano też badania lekarskie i psychologiczne. Dziecko nie było poddawane germanizacji, jeśli, nawet posiadając blond włosy i niebieskie oczy, wykazywało jakiegokolwiek problemy psychiczne. Następnie dzieci umieszczane były w ośrodkach Lebensborn lub, jeśli były starsze, w tych, które grupowały członków organizacji Hitlerjugend w przypadku chłopców i Bund Deutscher Mädel w przypadku dziewcząt.

Dzieciom nadawano nową tożsamość. I tak Karwinowski stawał się Karpersem, Mikołajczyk – Mickerem, a Sosnowska – Sosemann. Tak, by zachować pierwsze sylaby i dziecko mogło szybciej przyswoić

nowe nazwisko. Nie zawsze było to możliwe i niektóre nazwiska były tłumaczone na niemiecki: Olejnik – Oelmann, Młynarczyk – Mueller, Ogrodowczyk – Gaertner. Jeśli natomiast dziecko nosiło nazwisko o słowiańskim brzmieniu, nadawano mu typowe nazwisko niemieckie: Cieślak – Schueller, Rzamiak – Kramer, Czesławski – Zallinger.

Dla jeszcze lepszego zatajenia przeszłości dzieci sporządzane były dla nich fałszywe metryki, w których znajdowały się nieprawdziwe dane związane z datą i miejscem urodzenia. Jak wyglądało to w praktyce? Basia Gajzler urodzona w Gdyni 1 lutego 1938 r., z początkiem okupacji stała się sierotą. Mama dziewczynki zmarła w pierwszych dniach wojny na zawał serca. Ojciec zaginął podczas kampanii wrześniowej. Reszta rodziny została z Gdyni wysiedlona. Basia z babcią trafiły do Łodzi. W lutym 1942 r. babcia dostała wezwanie z Jugendamtu. Miała stawić się ze swoją czteroletnią wnuczką na badania. Komisja zainteresowała się drobną blondyneczką. Babci powiedziano, że trzeba dziecko zatrzymać do kolejnych badań. Do domu wróciła sama. Wnuczki już nie zobaczyła. Basia Gajzler została odwieziona do łódzkiego domu dziecka przy ulicy Przędzalnianej, a jakiś czas później trafiła do ośrodka Lebensborn w Bad Polzin.

Podobnie jak innym dzieciom Basi zmieniono imię i nazwisko. Została Bärbel Geisler. W ośrodku opiekunki zwracały się do dzieci wyłącznie po niemiecku. Gdy te próbowały ze sobą rozmawiać po polsku, były karane. Wychowanie sprawowane było twardą ręką, dzieci były bite za każde drobne przewinienie.

We wrześniu 1942 r. do ośrodka przyjechał Wilhelm Rossmann. Chciał zaadoptować dziecko. Wcześniej z żoną stracili 9-letnią córeczkę, która zachorowała i zmarła. Dwaj dorośli synowie służyli na froncie i Rossmannowie zdecydowali się wziąć dziecko na wychowanie. W ten sposób do ich domu w Lemgo, w Nadrenii, trafiła Bärbel.

Dziewczynka szybko się zaaklimatyzowała. Rossmannowie traktowali ją jak własną córkę; przytulali i rozpieszczali, ale też potrafili zwrócić uwagę czy skarcić, gdy była taka potrzeba. Bärbel świetnie opanowała niemiecki, o słowach w języku polskim zupełnie zapomniała. Na początku 1948 r., gdy dziewczynka miała 10 lat, została repatriowana do Polski. Dowiedziała się, że tam czeka jej prawdziwa babcia i że nazywa się Barbara Gajzler, a nie Bärbel Rossmann.

Podobną historię przedstawia życie Alojzego Twardeckiego. Z tą różnicą, że Basia, która wróciła do swojej babci, ostatecznie trafiła do domu dziecka w Łodzi. Na Alojzego w Polsce czekała stęskniona, kochająca matka. Alojzy z Rogoźna Wielkopolskiego stał się Alfredem Hartmannem. Jego pierwszym wspomnieniem z dzieciństwa był ośrodek, w którym dzieci bawiły się w żołnierzy i z entuzjazmem wysłuchiwały z radiowego głośnika przemówienia Führera. Każde dziecko marzyło, żeby dostać tatusia oficera. Najlepiej z SS lub Luftwaffe.

Marzenie Alojzego/Alferda nie zostało spełnione, bo z ośrodka zabrał go Theodor Binderberger, dyrektor Koblenckiego Urzędu Pracy. Rozczarowanie

pięciolatka prysnęło jednak jak bańka mydlana. Trafił do kochającej rodziny, zamożnej, mieszkającej w dużym, wygodnym domu. Żona Theodora pracowała w Luftwaffe, była kierowniczką sekcji urlopów dla oficerów. Z nowymi rodzicami mieszkali też nowi dziadkowie chłopca, którzy go uwielbiali.

Spokojne życie Binderbergerów zakłócił list, który w 1949 r. nadszedł z Polski. Pisała Małgorzata Ratajczak, prawdziwa matka chłopca. Po wielu perturbacjach Alojzy wrócił do Polski dopiero w 1953 r., gdy miał piętnaście lat. Matka nigdy by nie odnalazła swojego syna, gdyby nie fakt, że został on zabrany przez Niemców razem ze swoim kuzynem, który miał wówczas dziesięć lat i już więcej pamiętał i rozumiał. Kuzyn został wysłany do obozu Hitlerjugend w Austrii, ale wiedział, że Niemcy zmienili dane Alojzego i nazwali go Alfredem Hartmannem. Chłopcu z Austrii udało się powrócić i przekazać Małgorzacie, że syna musi szukać pod inną tożsamością.

Przykład tego, że Niemcy pozyskiwali rasowo cenne dzieci swoich wrogów, pokazuje z kolei rodzina Witaszków. Mieszkający w Poznaniu Halina i Franciszek mieli pięcioro dzieci. W czasie okupacji Franciszek zaangażował się w konspirację. Został dowódcą Związku Odwetu (organizacji wchodzącej w skład Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej). W kwietniu 1942 r. został aresztowany, a później stracony. Zatrzymana została też jego żona Halina. Wcześniej udało jej się ukryć dzieci: troje starszych u swojego brata, a dwie najmłodsze córki – 3-letnią Darię i dwa lata starszą Alodię – u krewnych w Poznaniu. Obu dziewczynek nie zdołano jednak skutecznie zabezpieczyć przed zainteresowaniem Niem-

ców. Trafiły one na badania do urzędu do spraw rasy. Tamtejsi „eksperci” ocenili je jako przykłady prawdziwie nordyckiej rasy. Zostały przewiezione do ośrodka w Bad Polzin, czyli do Potczyna Zdroju.

Alodia Witaszek została nazwana Alice Wittke a Daria – Dora Wittke. Najpierw w styczniu 1944 r. została adoptowana Alodia. Dziewczynka została zabrana do domu małżeństwa Dahlów ze Stendal pod Berlinem. Luise Dahl pracowała jako sekretarka, jej mąż Wilhelm przebywał we Francji, w obozie jenieckim. Niemiecka matka – *mutti* – traktowała Alice jak małą księżniczkę. Przytulała ją, robiła jej na drutach sukienki, zapisała ją na basen i balet. Darię z kolei zabrała rodzina Edmunda Schoelna z Weitra w Austrii. Schoelnowie byli prostymi ludźmi. On był malarzem pokojowym i służył w wojsku, ona zajmowała się domem. Dziewczynka zapamiętała swoją *mutti* jako kobietę spokojną, miłą. W domu miała zabawki, a dziadek zrobił jej z drewna kołyskę i wózek.

Jesienią 1947 r. obie dziewczynki dowiedziały się, że muszą jechać do Polski oraz że ich *mutti* nie są ich matkami. W Polsce na swoje córki czekała oszalała ze strachu i tęsknoty ich prawdziwa matka Halina Witaszek, która przeżyła obóz koncentracyjny.

Janusz Bukorzycki jako kilkutygodniowe dziecko został porzucony na jednej z ulic w Łodzi. Zawiniątko z malcem znaleźli przechodnie. Przy dziecku znajdowała się kartka: *Janusz Bukorzycki urodzony 3 maja 1933 r.* Dziecko trafiło do łódzkiego sierocińca, z którego dwa lata później zabra-

li je Anna i Józef Konieczni. W czasie okupacji opiekunowie chłopca otrzymali wezwanie na badania lekarskie Janusza. Po ich wykonaniu uznano, że ten nadawał się na Niemca. Janusz Bukorzycki przestał być Januszem Bukorzyckim, by stać się Johannem Buchnerem. Ale chłopak miał już dziesięć lat i zdawał sobie sprawę, że to nieprawda. Trafił do domu dziecka w Oberweis w Austrii. Dzieci z ośrodka były zabierane do adopcji, ale Januszem żadna rodzina nie była zainteresowana. Przeniesiono go więc do ośrodka dla chłopców, w którym wszyscy zrzeszeni byli w Hitlerjugend. Chłopcy ćwiczyli m.in. strzelanie z broni, odbywali marszobiegi i mieli pracować nad tężyzną fizyczną. 8 maja 1945 r., w dniu podpisania bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy, niemieccy opiekunowie nie pojawili się w ośrodku, porzucając swoich podopiecznych. Po jakimś czasie Janusz wrócił do domu w Łodzi.

* * *

Wbrew ogólnym zaleceniom Lebensborn upominał się też o starsze dzieci. Te jednak, w przeciwieństwie do m.in. Barbary, Alojzego czy Alodii, nie trafiały do nowych niemieckich rodzin, które by je pokochały.

12-letnia Barbara Mikołajczyk mieszkała z mamą w Łodzi. Jej ojciec został wywieziony na roboty. W 1942 r. jej mama dostała pismo, że ma się zgłosić na badanie córki. „Eksperci” pochwalili ładny nos i niebieskie oczy 12-latki. Kazali podciągnąć sukienkę do góry, żeby sprawdzić, czy nie ma krzywego kręgosłupa. Po prawidłowym zakwalifikowaniu Barbara

nie wróciła już do domu. Tak zeznawała jako świadek w czasie procesu norymberskiego, w którym odpowiadali funkcjonariusze Lebensborn:

Przewieziono nas do Heimschule w Achern-Baden. Tu przebywaliśmy około roku. Musieliśmy należeć do BDM (Bund Deutscher Mädel), nosić mundury i pozdrawiać się „heil Hitler”. Zakazano nam mówić po polsku i nauczyciele bili nas, gdy tylko się dowiedzieli, że rozmawiamy w tym języku. Mówiono nam, że jesteśmy Niemcami i że mamy zapomnieć, że Polska istniała. Z Achern-Baden zabrano nas do jakiegoś obozu w Salzburgu. Tam przebywaliśmy około dwóch miesięcy, tam też otrzymaliśmy nowe nazwiska. Mnie nazwano Barbara Micker i umieszczono w niemieckiej rodzinie. Mówiono mi, żeby nazywać ich ojcem i matką. Nie mogłam tak jednak mówić. Starłam się kontaktować z rodziną w Polsce, co jednak nie było dozwolone – zeznała, dodając, że niemiecka rodzina wiedziała, że jest polskim dzieckiem.

Alina Antczak, inna z dziewcząt pochodzących z Łodzi, również zeznawała w czasie procesu norymberskiego.

W ośrodku w Achern-Baden przebywałam około roku, musiałam należeć do BDM i nosić mundur. Raz widziałam Himmlera, który zwiedzał nasz zakład. W ogóle odwiedzali nas różni przywódcy SS i Lebensbornu. Przy opuszczaniu ośrodka powiedziano mi, że nazywam się Hilda Anziger. Następnie umieszczono mnie w rodzinie Mehnert w Petersheim. Był sierpień 1943 r. Rodzina niemiecka nie miała dzieci. Kazano

mi do nich mówić „ojcze” i „matko”. Nie mogłam jednak tak mówić i nazywałam ich „ciocią” i „wujkiem”. Gdy zmarł opiekun, musiałam ciężiej pracować. Opiekunka często krzyczała, biła mnie i w złości wołała „ty polska świnio” – przed sądem mówiła Alina.

Zgodnie z jej relacją w tamtejszej okolicy u niemieckich rodzin mieszkały też inne małe Polki. Jedna z nich, z którą się zaprzyjaźniła, zmarła. *W rodzinie tej było wiele dzieci, musiała ciężko pracować. Było to gospodarstwo rolne. Jednego dnia przeziębila się i po chorobie umarła – zeznała Alina.*

Nagminnym procederem było odbieranie dzieci polskim robotnikom przymusowym. Wiele ich dzieci, już po wojnie, nigdy nie odnalazło i nie poznało swoich matek. Jak Renata Juras, która przyszła na świat w grudniu 1944 r. w domu położniczym przy Hindenburgstrasse 59 w Augsburgu, w południowo-zachodniej Bawarii. Urodziła ją Stefania Juras, robotnica przymusowa – tkaczka z tkalni *Aura* przy Kazböckstrasse 4 w Augsburgu. Ojcem dziecka był niemiecki żołnierz Herbert Scharch. Jej matka przed wybuchem wojny mieszkała w miejscowości Jezierzany w powiecie Borszczów, na terenie dzisiejszej Ukrainy. We wrześniu 1939 r. uciekła do Lwowa. Tam zaczęła pracować w Cafe Lewandowski. W kwietniu 1944 r. została wywieziona do Niemiec. Musiała być już wówczas w ciąży. Renata po urodzeniu najprawdopo-

dobniej została przewieziona do ośrodka Hochland pod Monachium, 100 km od Augsburga. W czerwcu 1947 r. dziewczynkę wraz z transportem innych dzieci przewieziono z Niemiec do Katowic. Tam trafiła do domu dziecka, z którego zabrało ją małżeństwo Herwichów.

Herbert Scharch zginął w Polsce, pod Pszowem. Tam też został pochowany. Ostatni ślad po Stefanii Juras pochodzi z czerwca 1949 r. Znajdowała się wówczas we Włoszech i złożyła wniosek w sprawie wyjazdu do Argentyny. Nie wiadomo, czy tam trafiła ani co się z nią stało.

* * *

Część uprowadzonych dzieci o swojej prawdziwej, polskiej tożsamości nie dowiedziały się nigdy albo odkryły tę prawdę po latach, już jako dorośli.

Alianci po wkroczeniu na teren III Rzeszy z czasem zaczęli się orientować, że w tamtejszych sierocińcach, gospodarstwach znajdują się dzieci, których nie można było zidentyfikować albo pochodziły z krajów okupowanych. Rozpoczęto ich odszukiwanie i repatriację. Zaczęto też natrafiać na dokumenty związane z Lebensborn, niestety nie w kompletnej wersji. Wielu działań związanych z germanizacją polskich dzieci nie poznamy nigdy.

Już pod koniec wojny dokumenty zaczęli niszczyć sami pracownicy tej organizacji. Niezbyt ostrożnie podchodziły do nich też wojska okupacyjne. Większość materiałów zgromadzono w Urzędzie Stanu Cywilnego

Lebensbornu w Monachium. Po wkroczeniu aliantów zostały one zapakowane do sześciu skrzyń, które załadowano na ciężarówkę. Nie wiadomo, dokąd były przewożone. Wiadomo, że w kilka miesięcy po kapitulacji ciężarówka została zatrzymana na drodze przez jednostkę amerykańską pod dowództwem kapitana Kaufmana. Po sprawdzeniu ładunku kapitan kazał dokumenty wrzucić do rzeki. Można przypuszczać, że papiery nie przedstawiały dla niego żadnej wartości. O niefrasobliwej decyzji amerykańskiego kapitana Kaufmana wiadomo dzięki jugosłowiańskim oficerom, którzy byli akredytowani w amerykańskiej strefie. To oni zauważyli w rzece pływające dokumenty. Część z nich wyłowili. Gdy zorientowali się, że zawierają słowiańskie imiona i nazwiska dzieci, zaalarmowali władze okupacyjne.

Roman Hrabar, pełnomocnik polskiego rządu do odzyskiwania dzieci, będący jedną z pierwszych osób w Polsce, która badała zbrodniczą działalność Lebensbornu, szacował, że Niemcy zagrabilili ponad 200 tysięcy polskich dzieci. Po wojnie udało się odnaleźć z tej grupy 30 tysięcy. Nie wiemy, jak potoczyły się losy pozostałych dzieci. Przypuszczać jedynie można, że większość nigdy nie poznała prawdy o swoim pochodzeniu. Nigdy nie odzyskały swojej tożsamości.

Te, które zdołano odzyskać i przewieziono z powrotem do Polski, musiały się nie tylko nauczyć swojej prawdziwej tożsamości. Nie chodziło tylko o imię, nazwisko czy słowa w obcym wówczas dla nich języku. Musiały poznać i nauczyć się nowych bliskich ze świadomością, że niemieckie

rodziny nie były ich prawdziwymi. Losy germanizowanych dzieci były bardzo różne. Nie na wszystkie w Polsce czekali kochający bliscy. Część z nich trafiła do domów dziecka. Po latach już jako dorośli starali się odnaleźć swoich prawdziwych rodziców. Czasem im się to udawało, ale nie zawsze wyglądało to jak szczęśliwe łączenie rodzin. Niekiedy dzieci miały inne wyobrażenia o rodzicach, rodzice o dzieciach i pojawiało się rozczarowanie. Czasem okazywało się, że spotykały się ze sobą dwie zupełnie obce osoby, które nie potrafiły ani się poznać, ani porozumieć. Lat dłużej rozłąki nie dawało się w żaden sposób nadrobić.

Gros uprowadzonych przez Lebensborn dzieci nie poznało swoich prawdziwych matek czy ojców, bo ci nie przeżyli wojny. Zdarzały się też przypadki, że zawodziła biurokracja i przewiezione transportem do Polski dzieci nigdy nie poznały swoich prawdziwych imion i nazwisk, a tym samym swoich korzeni.

Zbrodnia Lebensborn jest bezkrwawa fizycznie, ale odcisnęła piętno na psychice swych ofiar. Dla wielu dzieci porwanych przez nazistów wojna nie zakończyła się wraz z kapitulacją Niemiec w 1945 r. Nauka nowego życia, poszukiwania prawdy o sobie i swoich bliskich, zabierały lata. O tym, jak bardzo owe dzieci zostały skrzywdzone, najlepiej świadczy uznanie wynaradawiania przez Zgromadzenie Ogólne ONZ za zbrodnię ludobójstwa, która nie podlega przedawnieniu.

Katarzyna Kaczorowska

W WIĘKSZOŚCI NIEODZYSKANE. POWOJENNE LOSY POLSKICH „ZRABOWANYCH” DZIECI

Ta historia jest i hańbą, i wyrzutem sumienia. Hańbą, bo organizatorzy procederu rabowania dzieci, pozbawiania ich tożsamości, wynarodowiania, mordowania tych, które nie spełniały wymogów aryjskości, w niewielkim stopniu ponieśli odpowiedzialność karną za swoje zbrodnie. I wyrzutem sumienia, bo państwo polskie i organizacje międzynarodowe, takie jak Czerwony Krzyż, nie upomniały się skutecznie o polskie dzieci uprowadzone przez nazistów. Te z nich, które zdołały ustalić prawdę o swoim pochodzeniu lub wróciły po wojnie do Polski, nie doczekały się uznania za ofiary wojny przez niemieckie władze. I wciąż czekają na uchwałę Bundestagu, która otworzyłaby drogę chociażby do tak podstawowej kwestii jak przyznanie ofiarom zbrodni ludobójstwa i czystek etnicznych statusu ofiary. I usłyszenia trzech słów. *Prosimy o wybaczenie.*

Powojenna historia polskich dzieci zrabowanych przez nazistowskie Niemcy dzieli się na dwa okresy. Pierwszy, właściwie naturalny, przypada na pierwsze lata po zakończeniu wojny. Drugi to tak naprawdę przywracanie pamięci dramatów, które z różnych powodów zostały zapomniane. Niemcy tę historię zaczęli poznawać dopiero w początkach drugiej dekady XXI w., Polacy odkryli ją na nowo pod jej koniec.

Jedną z kluczowych postaci dla pierwszego etapu historii porywanych do zniemczenia małych Polaków był Roman Hrabar, prawnik i Pełnomocnik Rządu Polskiego ds. Rewindykacji Dzieci Polskich. Swoją funkcję pełnił od marca 1947 r. do sierpnia 1950 r., a później działał w Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Na ten czas przypada też tzw. VIII proces norymberski, gdzie na ławie oskarżonych zasiedli m.in. przedstawiciele Lebensbornu, który był zaangażowany w proces germanizacji polskich dzieci. To jest też czas powrotu do kraju ok. 30 tysięcy z nich, włącznie ze spektakularnymi przypadkami nagłościami w ówczesnej polskiej prasie, takimi jak odnalezienie w listopadzie i w grudniu 1947 r., a więc zaledwie dziewięć miesięcy po rozpoczęciu działalności Hrabara, dwóch córek poznańskiego lekarza Franciszka Witaszka – Alodii i Darii. Dr Witaszek, członek ruchu oporu, został zamordowany przez Niemców. Jego córki, zgodnie z perwersyjną strategią przyjętą przez nazistów przekazywania dzieci zabitych członków podziemia antynazistowskiego do germanizacji, w 1943 r. zostały odebrane rodzinie. Trafiły do ośrodka Lebensborn w Kaliszu, umiejscowionego w zabudowaniach klasztornych (polskie zakonnice wysiedlono).

W ośrodku zmieniono imiona i nazwisko z Witaszek na Wittke. Alodia stała się Alice, a Daria – Dorą. Pierwszą przekazano do rodziny mieszkającej w Niemczech, drugą do Austrii.

Poszukiwania zaczęto od Śląska

Hrabar po wojnie trafił do Katowic i zaczął pracę w urzędzie wojewódzkim, gdzie między innymi miał za zadanie stworzyć system przepływu informacji dla poszukujących rodzin zaginionych w wojennej zawierusze. Tak trafił na sprawę zaginionych dzieci, początkowo szukając tych wywiezionych ze Śląska. Stopniowo docierało do niego jednak, że Niemcy dzieci uprowadzali na terenach wcielonych do Rzeszy, a więc na Śląsku, w Wielkopolsce czy w Łodzi, która stała się centrum ich aktywności w tym obszarze, ale też w Generalnej Guberni. Ostatecznie Hrabar stanął na czele zespołu, który miał za zadanie ustalić skalę uprowadzeń i odzyskać jak największą liczbę dzieci. I tu pojawia się pierwszy problem. Do tej pory bowiem historycy opierają się tylko na szacunkach dotyczących skali zjawiska aryacji dzieci z okupowanych terytoriów. Hrabar i jego współpracownicy byli pewni, że naziści wywieźli z Polski co najmniej 200 tysięcy chłopców i dziewczynek. Dzisiaj mówi się o co najmniej 50 tysiącach, ale prawdziwej liczby nie da się określić. I to nie tylko dlatego, że Niemcy zmieniali dzieciom tożsamość, fałszowali metryki czy niszczyli pod koniec wojny i tuż po

niej dokumentację w ośrodkach, w których przebywali mali Polacy, zanim zostali przekazani dalej, do niemieckich rodzin. (Dokumenty pozostawione przez nazistów niszczyli też alianci, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z wagi dowodów lub lekceważąc sprawę tak z pozoru nieistotną jak zmiana tożsamości dzieci.)

Polscy historycy szacują, że Polacy stanowili aż 70 procent zidentyfikowanych do tego czasu uprowadzonych dzieci. Do kraju sprowadzono z powrotem zaledwie 15–20 procent. To ok. 33 tysiące chłopców i dziewczynek, w tym 20 tys. ze strefy radzieckiej, 11 tys. ze stref zachodnich w Niemczech i ok. 2 tys. z Austrii. Jeśli przyjmie się górną granicę liczby dzieci wywiezionych do germanizacji, a więc 200 tysięcy, to poza granicami kraju pozostało 170 tysięcy z nich. Nie sposób jednak uznać tych liczb za wiążące, bo po pierwsze poszukiwania dzieci przerwano, a po drugie – od ich przerwania przez dziesiątki lat po wojnie nie było woli i funduszy na podjęcie chociażby pracy badawczej pozwalającej ocenić prawdziwą skalę germanizacyjnej akcji nazistów.

Kolejną kwestią jest wymagająca rzetelnego opisanie praca Romana Hrabara, okoliczności jego odwołania z Niemiec, analiza zapisków, które ze sobą przywiózł i które dzisiaj są przechowywane w Archiwum Akt Nowych oraz w wersji zdigitalizowanej w Instytucie Pamięci Narodowej.

Roman Hrabar wraz ze zorganizowanym przez siebie niewielkim zespołem do spraw rewindykacji dzieci, w randze pełnomocnika rządu, wiosną

1947 r. wyjechał do Heidelbergu, do Kwatery Głównej UNRRA (*United Nations Relief and Rehabilitation Administration*), na terenie amerykańskiej strefy okupacyjnej. Akredytowany jako Senior Child Research Officer w barwach Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) mógł liczyć na pomoc swojej dobrej znajomej Eileen Blackley, przyjaciółki żony prezydenta USA Eleonory Roosevelt. I na współpracę z dr. Edmundem Schwenkiem, jednym z prokuratorów przygotowujących tzw. VIII proces norymberski, w którym oskarżono 14 wysokich rangą członków SS i urzędników cywilnych o udział w akcji porywania dzieci z terenów okupowanych przez III Rzeszę, nie tylko polskich.

Kierunek: Niemcy

Hrabar i jego ludzie zaczęli pracę od Regensburga, gdzie Blackley znalazła dokumentację dotyczącą 4 tys. uprowadzonych śląskich dzieci. Pierwsze powroty zaczęły się późną wiosną 1947 r. – transporty z dziećmi dotarły do Katowic. Sukcesem było odzyskanie 25 dzieci z zakładu opiekuńczego Schloss Hubertus w bawarskim Oberlauringen. Wbrew pozorom nie oznaczało to wcale poprawy sytuacji kolejnych małych repatriantów wracających do Polski. Wielu z nich trafiło do Niemczenia jako kilkulatki, część z domów dziecka, nie mając żadnej wiedzy o swoim pochodzeniu, rodzinie, krewnych. Systemowy terror sprawiał, że większość nie znała języka polskiego, musiała się

więc go uczyć na nowo, nierzadko kalecząc słowa twardym akcentem. Dzieci, które najpierw zostały odebrane bliskim, osierocone, przeszły opresyjne ośrodki, gdzie przygotowywano je do Niemczenia, były świadkami brutalności „opiekunów”, nierzadko mordów, doznawały kolejnej traumy odrzucenia przez rówieśników, dla których były nienawidzonymi wskutek okupacyjnych zbrodni Niemcami.

Latem 1947 r., a więc po pierwszych sukcesach ekipy Hrabara, Amerykanie zdecydowali o likwidacji działu poszukiwań dzieci w UNRRA. Zaostrzała się sytuacja polityczna. Stało się jasne, że nie ma już aliantów, jest twardy podział, nie tylko Europy, na dwa bloki rywalizujące ze sobą politycznie, gospodarczo, ideowo. Żelazna kurtyna stawała się faktem. Hrabar miał niebywałe szczęście, że znał się z Eileen Blackley, która ruszyła po pomoc m.in. do Eleonory Roosevelt. Stojąca na czele UNRRA Fiorello La Guardia przedłużyła pracę działu zajmującego się poszukiwaniami dzieci o rok. Hrabar, któremu udało się dojść (ze wsparciem) do porozumienia z Amerykanami, nie mógł liczyć na takie zrozumienie w angielskiej strefie okupacyjnej, za to świetnie układała się jego współpraca z Francuzami.

Na pewno za sukces jego zespołu należy uznać odnalezienie uprowadzonych dzieci – Aliny Antczak, Barbary Mikołajczyk i Sławomira Grodomskiego-Paczesnego, których zeznania złożone podczas VIII procesu norymberskiego miały istotne znaczenie dla wyroków skazujących. W tym procesie na ławie oskarżonych znaleźli się członkowie

hitlerowskich organizacji zajmujących się nazistowskimi programami rasowymi, na czele z Głównym Urzędem Rasy i Osadnictwa SS (*Rasse- und Siedlungshauptamt*, RuSHA). Proces trwał od 20 października 1947 do 10 marca 1948 r. Wśród 14 oskarżonych byli nie tylko prominentni działacze RuSHA, ale też członkowie Komisariatu Rzeszy do Spraw Konsolidacji Narodu Niemieckiego (*Reichskommissar für die Festigung des deutschen Volkstums*, RKFDV, na którego czele stał Heinrich Himmler), Głównego Urzędu Kolonizacyjnego dla Niemców etnicznych (*SS-Hauptamt Volksdeutsche Mittelstelle*, VoMi) oraz Lebensborn. W procesie zapadły wysokie wyroki więzienia, ale członkowie Lebensbornu zostali zwolnieni z obowiązku odbywania kary. W ocenie współczesnych historyków skutecznie przekonali amerykańskich sędziów, że Lebensborn pomagał samotnym matkom i ratował dzieci w czasie wojny.

Scalenie i chaos

W styczniu 1948 r. w Esslingen powstał organ Delegatury Głównej PCK na Niemcy – Referat Rewindykacji Dzieci. W tym samym miesiącu znajdował się centralny Dział Poszukiwań Dzieci na Niemcy (*ITS Search*) oraz centralna kartoteka dzieci poszukiwanych, odnalezionych i repatriowanych, należąca do Narodów Zjednoczonych. Wybór miejsca był więc jak najbardziej zasadny. Roman Hrabar miał już opinię

eksperta w poszukiwaniach, zdecydowano więc, że jego misję jako pełnomocnika rządu należy połączyć z pracą PCK. Decyzję uzasadniono koniecznością położenia kresu dwutorowości w prowadzeniu akcji rewindykacyjnej. I tak w marcu 1948 r. Hrabar stał się członkiem Delegatury Głównej PCK na Niemcy i kierownikiem Działu Rewindykacji. 22 lipca razem ze swoim zastępcą Wiktorem Pietruszką wyjechali na cztery miesiące do Polski na konferencję, nie przypuszczając, że już nie wrócą do realizowanego od półtora roku zadania.

I w tym momencie zaczęły się dziać rzeczy, które do dzisiaj nie zostały w pełni wyjaśnione. Dlaczego Hrabara odwołano do Polski? Czy też raczej, dlaczego ostatecznie Hrabar nie wrócił do Niemiec, by kontynuować rozpoczętą w 1947 pracę? W sprawozdaniu datowanym na 31 grudnia 1948 r. Delegat Główny PCK na Niemcy pisał: *W lipcu i sierpniu zaszły okoliczności, które powstrzymały chwilowo powrót Pietruszki i Hrabara z Polski do Niemiec*, nie precyzując, jakie to okoliczności. Jednocześnie w początkach grudnia do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej przedstawiciel PCK wysłał pismo informujące, że Międzynarodowa Organizacja Uchodźców (ang. *International Refugees Organisation*, IRO) wystąpiła o zwrot dokumentów Hrabara, umożliwiających mu dotychczas wykonywaną pracę.

Dokumenty zgromadzone w biurze Hrabara w Esslingen od jego wyjazdu do Polski były nietknięte. Jakby tego było mało, pojawiały się też nowe zgłoszenia wymagające pilnych działań. Jednak dopiero

w połowie września 1948 r. z Delegatury Głównej PCK w Spenge dotarło zarządzenie, które nakazywało opieczetować akta w biurze Hrabara. Dwa miesiące później do biura przyjechali urzędnicy z nakazem Delegata Głównego PCK na Niemcy zdjęcia pieczęci i sprawdzenia zawartości szaf. To te dokumenty trafiły do Archiwum Akt Nowych w Warszawie i znane są pod nazwą *szafa Hrabara*.

3 grudnia 1948 r. władze zdecydowały, że Referat ma się zająć prowadzeniem centralnej kartoteki dzieci poszukiwanych, odnalezionych i repatriowanych, korespondencją z biurem PCK w Warszawie i delegaturami w Niemczech. Tak istotna, wydawałoby się, placówka znajdowała się w... magazynie o powierzchni 18 m². Na tej niewielkiej powierzchni przy wspólnych biurkach pracowało pięć osób. W styczniu 1949 r. dołączył do nich Wiktor Pietruszka, który po przyjeździe z kraju usiłował przyspieszyć proces odzyskiwania dzieci. Jednocześnie właśnie wtedy zaczęły się wzajemne oskarżenia o bałagan w dokumentacji, udostępnianie jej np. pracownikom Intelligence Service (brytyjskiego wywiadu), wypożyczanie akt ITS i IRO. Oskarżeniom towarzyszyły listy, oświadczenia, żale. Bałagan można tłumaczyć skandalicznymi warunkami, w jakich przyszło pracować polskiej ekipie, być można też zwykłymi konfliktami personalnymi i ambicjami, na pewno też wpływ na całość sytuacji miały zmieniające się warunki polityczne. Niezależnie jednak od przyczyn tych oskarżeń w ich efekcie na plan dalszy schodziło poszukiwanie dzieci, a to przecież było celem Referatu Rewindykacji Dzieci.

Koniec akcji

Tuż po powrocie Pietruszka pisał w alarmistycznym tonie do władz zwierzchnich:

(...) wydział nie planuje akcji, nie bada zagadnienia germanizacji, deportacji, ewakuacji i eksterminacji dzieci polskich, nie posiada bieżących sprawozdań z akcji, nie przeprowadza, nie koryguje, nie instruuje i nie kontroluje akcji, nie zbiera książek, czasopism i dokumentów akcji, nie bada ośrodków germanizacji, deportacji, ewakuacji i eksterminacji dzieci polskich, nie studiuje szlaków deportacji i nie opracowuje zdobytych doświadczeń.

I przypomniał, że zbieranie dokumentów i pracę w terenie zakończono 1 sierpnia 1948 r., a bez tych dokumentów i rozpoznania w terenie nie sposób odnaleźć uprowadzone przez nazistów dzieci.

Akcję odzyskiwania polskich dzieci zakończono w 1950 r. – w sierpniu brytyjskie władze zdecydowały, że polskie dzieci żyjące w niemieckich rodzinach adopcyjnych na terenie brytyjskiej strefy okupacyjnej mają pozostać przy tych rodzinach albo trafić do adopcji na Wyspy. To, że zespołowi Hrabara udało się do tego czasu ustalić pochodzenie i nazwiska 6500 polskich dzieci, nie miało znaczenia. Jednocześnie kończyły się możliwości negocjacji bądź nacisku – PCK zamknął do końca sierpnia tego samego roku wszystkie swoje delegatury działające w Niemczech.

Po powrocie z misji Roman Hrabar osiadł w Katowicach. Został wziętym adwokatem. I konsultantem Głównej i Okręgowych Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, do których zwracały się rodziny uprowadzonych dzieci z prośbą o informacje lub wszczęcie poszukiwań. Jego książki o odnajdywaniu małych Polaków przeznaczonych do niemieckizacji do dzisiaj stanowią ważne źródło informacji zarówno o samej operacji germanizacji, jak i o poszukiwaniach.

Łódzkie piekło

Pisząc o zbrodni aryżacji dzieci odebranych bliskim, nie sposób pominąć też kluczowego dla tego procesu na terenach okupowanej Polski *Obozu prewencyjnego dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa w Łodzi* (niem. *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt*), nazywanego potocznie Kinder-KL Litzmannstadt lub po prostu obozem przy Przemysłowej, od nazwy ulicy, gdzie był zlokalizowany. Trafiły tu dzieci odebrane rodzicom, zabrane z domów dziecka czy porwane podczas wysiedleń, przede wszystkim na Zamojszczyźnie. Łódzki obóz był „przystankiem” na drodze do ośrodków, w których biciem, zastraszaniem i głodzeniem wymuszano postępowanie, naukę języka niemieckiego i zapominanie o własnych korzeniach. Ale trafiały do niego też i te dzieci, które po wstępnej selekcji okazywały się za mało aryjskie albo zbyt odporne na niemie-

czenie. Szacuje się, że przeszło przez niego od 2 do 3 tysięcy dzieci w wieku od 2 do 16 lat, ale trafiały tu też niemowlęta. Zmarło co najmniej 200 z nich. W 1945 r. przed sądem stanęli „wychowawcy” Edward August i Sydonia Bayer. Oboje zostali skazani na karę śmierci.

Ostatni proces związany z tym obozem – poszlakowy – toczył się w Łodzi od 12 marca 1972 do 2 kwietnia 1974 r. Genowefę Pohl, po wojnie pracującą jako intendientka w łódzkim żłobku, oskarżono m.in. o morderstwa.

Podejrzana jest, że w latach 1942–1944 w Łodzi jako nadzorczyni obozu karnego dla dzieci polskich, idąc na rękę władzy hitlerowskiej państwa niemieckiego, brała udział w eksterminacji dzieci polskich, przebywających w obozie, a w szczególności w bestialskim zamordowaniu więźniarek Urszuli Kaczmarek i Danuty Jakubowskiej – brzmiały zarzuty z aktu oskarżenia.

Pohl skazano na 25 lat pozbawienia wolności. Zwolniono ją z więzienia w Rawiczu na początku lat 90. XX w., zmarła w 2003 r. w Łodzi.

Obóz dziecięcy w Łodzi w zdumiewająco szybkim tempie zniknął ze zbiorowej pamięci Polaków. Może dlatego, że dzieci, które go przeżyły, długo nie mówiły o tym, co je spotkało? Dość powiedzieć, że drewniane baraki, w których osadzeni byli mali więźniowie, rozebrano jeszcze w 1945 r., a w latach 60. na terenie byłego obozu powstało

osiedle mieszkaniowe. Po pierwszej publikacji opisującej ofiary tego miejsca – artykuł Marii Niemyskiej-Hessenowej *Dzieci z „Lagru” w Łodzi* ukazał się w 1946 r. – na wiele lat zapadła cisza. Dopiero w 1965 r. *Reportaż z pustego pola* Wiesława Jażdżyńskiego rozpoczął kilkuletni etap przywracania pamięci o obozie przy Przemysłowej, którego apogeum był proces Pohl i odstąpienie w Łodzi w 1971 r. Pomnika Pękniętego Serca. Cztery lata później ukazała się monografia historyczna Józefa Witkowskiego *Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi*, byłego więźnia tego lagru, która wciąż jest podstawowym kompendium wiedzy na ten temat (mimo zastrzeżeń historyków w związku z najnowszymi ustaleniami). I dopiero pod koniec maja 2021 r. minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu Piotr Gliński poinformował o utworzeniu w Łodzi *Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu*, które ma zostać otwarte w 2023 r.

Śledztwo w sprawie Zamojszczyzny

Choć polskie dzieci były uprowadzane na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa, w Wielkopolsce i na Śląsku, dzieci Zamojszczyzny po wojnie zyskały szczególny status – już w latach 1946–47 prokurator Sądu Okręgowego w Zamościu, działając z upoważnienia Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, prowadził postępowanie karne w sprawie wywożenia dzieci z Zamojszczyzny w czasie

okupacji niemieckiej. Akta te zostały przekazane do Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie, do Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. W 2003 r. w czerwcu prokurator pionu śledczego zdecydował o wznowieniu prowadzonego w 2. poł. lat 40. XX w. śledztwa. Sprawa dotyczy zbrodni ludobójstwa popełnionej w czasie II wojny światowej w Polsce na terenie Zamojszczyzny przez okupanta niemieckiego, wobec ludności cywilnej okupowanego wówczas obszaru w ten sposób, że funkcjonariusze niemieccy dopuścili się czynów nieludzkich pod postacią powszechnego, na tym terenie, przymusowego odbierania dzieci polskich ich rodzicom i ich deportacji, częściowo do Niemiec w celu germanizacji, częściowo zaś do obozów przejściowych, w celu wyniszczenia, w ramach niemieckiego planu germanizacji Ziemi Zamojskiej. Deportacje prowadzone od listopada 1942 r. do sierpnia 1943 r. objęły łącznie 231 wsi i ich mieszkańców z terenów powiatów biłgorajskiego, hrubieszowskiego, Tomaszowa Lubelskiego i Zamościa.

W 2006 r. do akt sprawy dołączono materiały nadesłane z Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, w tym m.in. alfabetyczny spis osób pokrzywdzonych obejmujący ponad 10 tysięcy nazwisk. Spis powstał w 1988 r. m.in. na podstawie akt z lat 40., ustaleń Komisji Weryfikacyjnej Stowarzyszenia Dzieci Ofiar Wojny Ziemi Zamojskiej, spisów lokalnych samorządów i milicji. Prokurator zdecydował więc o weryfikacji tej listy, co w efekcie pozwoliło nie tylko ustalić osoby żyjące, ale przede wszystkim przesłuchać je. Łącznie

przesłuchano 1841 świadków i pokrzywdzonych, ale do lubelskiej komisji wciąż zgłaszają się kolejni świadkowie tragicznych wydarzeń z czasu II wojny światowej. W aktach sprawy są też archiwalne zeznania ok. 1000 osób. Śledztwo ma sygnaturę S 62.2007.Zn i trwa.

Odkrywanie historii

Tragiczne losy polskich dzieci do świadomości Niemców zaczęły się przebijać dopiero na przełomie XX i XXI w. – dzięki pracy nauczyciela historii z Fryburga w Badenii-Wirtembergii Christopha Schwarz, który o tej zbrodni dowiedział się przypadkiem i poruszony, rozpoczął prywatną krucjatę, która szybko przerodziła się w działania systemowe. Udało mu się ustalić wiele faktów z działalności kilku nazistowskich ośrodków, dokąd wywożono polskie dzieci, m.in. w Achern niedaleko Karlsruhe (trafiały tu m.in. ofiary deportacji z Zamojszczyzny). Dotarł też do dorosłych już osób, które opowiedziały mu o tym, co zapamiętały z czasów wojny, jak dowiedziały się, że są Polakami i czy udało im się ustalić prawdę o swojej biologicznej rodzinie. Schwarz właściwie wyszedł z roli chłodnego kronikarza, relacjonującego okropieństwa wojny. Z głębokiego poczucia odpowiedzialności zaangażował się w działania na rzecz uznania ofiar przymusowej germanizacji za ofiary wojny takie same jak więźniowie obozów koncentracyjnych czy robotnicy przymusowi.

W 2012 r. został wraz z bohaterami, do których dotarł, współzałożycielem stowarzyszenia *Geraubte Kinder – vergessene Opfer* (pol. *Zrabowane dzieci – zapomniane ofiary*, www.geraubte.de), które postawiło sobie za cel nie tylko opowiedzenie współczesnym Niemcom zupełnie nieznaną im historii, ale też doprowadzenie do wypłacenia ofiarom jednorazowego zadośćuczynienia za doznane krzywdy – w wysokości 20 tysięcy euro. (Do Polski, na odszkodowania dla ofiar nazizmu rząd federalny Niemiec w latach 1992–1993 przekazał 500 milionów marek w trzech transzach).

Stowarzyszenie dwukrotnie złożyło w Bundestagu petycję dotyczącą polskich dzieci i zadośćuczynienia ich krzywdom: w 2013 i 2014 r. W 2013 r. Ministerstwo Finansów przyznało w odpowiedzi na pismo Stowarzyszenia, że los porwanych dzieci *dotykał w czasie działań wojennych wiele rodzin i był skutkiem strategii wojennej*, jednocześnie jednak urzędnik, który sformułował odpowiedź, wyjaśniał, że przymusowa germanizacja *nie miała w pierwszej kolejności na celu unicestwienia ani pozbawienia wolności jednostki*.

22 maja 2014 niemieccy parlamentarzyści zdecydowali, że trzeba podjąć działania w tym kierunku. Kilka miesięcy później z Bundestagu do Stowarzyszenia trafiło pismo, w którym *zadeklarowano szukanie rozwiązania na szczeblu politycznym*. Jednym z istotnych elementów kampanii, którą można nazwać kampanią moralnej presji na odpowiedzialność, stała się wystawa przygotowana przez Schwarza, poka-

zywana w całych Niemczech w tym samym roku. A jednym z jej efektów było uruchomienie w 2017 r. przez Interię i Deutsche Welle pierwszych polsko-niemieckich poszukiwań zrabowanych dzieci.

Podczas wspólnej akcji *Zrabowane dzieci / Geraubte Kinder* dziennikarze, we współpracy z instytucjami, archiwami i fundacjami, nie tylko poszukiwali poszkodowanych, ale też pomagali ofiarom germanizacji w dotarciu do krewnych, towarzysząc w odkrywaniu prawdziwej tożsamości. Do redakcji zgłaszały się ofiary polityki aryacji, ale też i takie, które wiedziały o takich przypadkach w swoich rodzinach. Efektem tych działań było nie tylko odkrywanie indywidualnych losów, ale przybliżenie ich szerokiemu odbiorcy. W 2018 r. w Krakowie odbyła się pierwsza międzynarodowa konferencja naukowa, poświęcona rabunkowi i germanizacji polskich dzieci w czasie II wojny światowej. Zorganizowały ją krakowski oddział IPN i Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Podczas konferencji nie tylko omawiano specyfikę rabowania *rasowo wartościowych* dzieci, zbrodnicze działania wobec dzieci robotnic przymusowych pracujących w czasie wojny na terenie Rzeszy, ale przedstawiono też aktualny stan wiedzy na temat poszukiwań, repatriacji i procesów sądowych.

W tym samym roku Sąd Administracyjny w Kolonii nie znalazł podstaw, by dorosłe już ofiary zorganizowanej przez nazistów akcji porwań i przymusowej germanizacji uznać za ofiary wojny, co automatycznie na gruncie niemieckiego prawa oznaczałoby przyznanie im odszkodowań

za doznane krzywdy. Sąd powołał się na wytyczne niemieckiego rządu z 2011 r., dotyczące prześladowań grup etnicznych i narodowościowych uznanych przez nazistów za *mniej wartościowe* i podkreślił, że germanizowane dzieci trudno za takie uznać... Odwołał się też do odmowy, jaką ofiary dostały w 2013 r. od niemieckiego ministerstwa finansów. Urzędnicy tłumaczyli w niej, że ofiary porwań i przymusowej germanizacji *nie były prześladowane z racji swojego zachowania lub cech*. W uzasadnieniu swojej decyzji sąd w Kolonii argumentował, że o odszkodowanie mają prawo ubiegać się te osoby, które w momencie doznania krzywdy były obywatelami Niemiec lub etnicznymi Niemcami, najwyraźniej całkowicie ignorując całą złożoność sytuacji prawnej wynikającej ze zmiany tożsamości i fałszowania dokumentów wprowadzonych do germanizacji dzieci. Jednocześnie podkreślił, że nie jest instancją, która może dodać kolejne kategorie ofiar do tych, którym już przysługuje prawo do odszkodowań. A są to wedle rządowych wytycznych osoby prześladowane przez nazistów *z powodu swoich społecznych lub osobistych zachowań lub z racji szczególnych cech osobistych (jak np. upośledzenie umysłowe)*. Zdaniem sądu porwane i siłą germanizowane dzieci nie należą do tej grupy.

Ofiary, które nie są ofiarami

Istotne znaczenie dla przywrócenia tej historii polskiej pamięci i szerokiemu odbiorcy miała praca dziennikarzy. W 2017 r. ukazała się

Brunatna kotysanka mieszkającej i pracującej na Śląsku Anny Malinowskiej. Dwa lata później, w 2019 r. na polskim rynku wydawniczym ukazała się książka *Teraz jesteście Niemcami*, będąca swoistym podsumowaniem akcji prowadzonej przez polskich i niemieckich dziennikarzy z Interii i Deutsche Welle. Ewelina Karpińska-Morek, jedna z jej współauterek, wydała też osobno własną książkę zatytułowaną *Soszka. Wojna się dzieciom nie przywidziała*.

Pod wpływem jednej z tych publikacji – *Teraz jesteście Niemcami* – w 2019 r. poseł Bogusław Sonik skierował do ministra spraw zagranicznych interpelację. W swoim piśmie zapytał m.in. o działania mające na celu udokumentowanie losów zrabowanych dzieci i podejmowane na przestrzeni lat próby ich odnalezienia oraz wytknął paradoks historyczny i polityczny – rabunek i germanizacja dzieci zostały uznane przez Zgromadzenie Ogólne ONZ za zbrodnię ludobójstwa i zbrodnię przeciwko ludzkości, ale zrabowane dzieci nie mają statusu ofiar II wojny światowej.

Na tę interpelację MSZ odpowiedział w początkach 2020 r., pisząc:

(...) w ocenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych interpelacja Pana Posła dotyczy niezwykle ważnego tematu, który nadal wymaga należytego udokumentowania w oparciu o badania historyków. Zbrodnia ta jest niedostatecznie znana opinii publicznej dlatego podniesienie tej kwestii przez Pana Posła jest bardzo zasadne i potrzebne. Podej-

mowane dotychczas działania mające na celu opisanie tej zbrodni a przede wszystkim dotarcie o niej do świadomości narodów świata należy kontynuować wykorzystując wiele środków przekazu.

Kluczowe w tej odpowiedzi, w której MSZ w krótkiej formie streszcza aktualny stan wiedzy oraz wymienia publikacje na ten temat, jest ostatnie zdanie:

W kwestii prac nad uznaniem ich za ofiary II wojny światowej MSZ zwróciło się do Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Do dzisiaj status uprowadzonych przez nazistów dzieci nie jest zmieniony. Ci, którzy znają swoją historię lub poznali ją po latach, już jako dorośli ludzie, borykają się z wieloma traumami, tym bardziej że część nigdy nie pozna prawdy o swoich biologicznych rodzicach. Nikt nie zna liczby tych, którzy prawdy nie poznają, bo tak skutecznie zatarto jakiegokolwiek ślady ich polskości. Zdarza się też i tak, że nawet po odnalezieniu polskiej rodziny poczucie więzi się nie pojawia – mimo poznania prawdy, nierzadko dramatycznej, wychowane w niemieckiej rodzinie polskie, już nawet nie dorosłe, ale mocno starsze dzieci czują silniejszą więź z niemiecką Mutti niż z polskim rodzeństwem.

Polskie dzieci uprowadzone do germanizacji to nie tylko oskarżenie zbrodniczego systemu, ale też polskiego państwa, które zrezygnowało z walki o nie i ich prawa z powodów politycznych. W relacjach z NRD tej kwestii

w ogóle nie podnoszono, uznając, że niemieccy komuniści nie odpowiadają za niemiecki nazizm, a więc i wszyscy obywatele komunistycznego państwa są od tej odpowiedzialności za zbrodnie wolni. W relacjach z RFN ważniejsza stała się kwestia uznania granicy na Odrze i Nysie.

Dziś, ponad osiemdziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej, wydaje się, że zbrodniczy projekt aryżacji dzieci, w którym kluczowe było odebranie im tożsamości i stworzenie nowego, nazistowskiego obywatela, gotowego całym sercem, duszą i ciałem służyć nowej ojczyźnie – III Rzeszy, blednie wobec zbrodni ludobójstwa i piekła obozów zagłady. W urzędniczej nowomowie, w której ofiary przymusowej germanizacji nie były prześladowane, bo przecież nie trafiały do obozów zagłady czy rowów, nad którymi stali oprawcy z Einsatzgruppen, jest niczym innym jak cynicznym wartościowaniem bólu, cierpienia, osamotnienia i wykorzenia. O grzechu zaniechania można też mówić w odniesieniu do polskiego państwa, dla którego kwestie polityczne stały się nadrzędne wobec krzywdy tych najmniejszych, używając biblijnego języka. Ci najmniejsi, jeśli żyją i jeśli udało im się odkryć prawdę o swoim pochodzeniu, dobiegają dzisiaj dziewięćdziesiątego roku życia. Są świadkami historii i wyrzutem sumienia, jeśli w ogóle można używać takiej kategorii wobec państwa. To ostatni moment, by opowiedzieli historykom o tym, co ich spotkało, by ich traumę poznali terapeuci, a prokuratorzy odebrali zeznania. Pytanie tylko, czy chcemy ich wysłuchać, a przede wszystkim, czy chcemy wyciągnąć wnioski z okrutnego losu, jaki stał się ich udziałem.

AUTORKI

Anna Malinowska

Dziennikarka związana ze Śląskiem. Pracowała m.in. w *Trybunie Śląskiej*, a od 2005 roku w katowickim oddziale *Gazety Wyborczej*. Autorka książek *Brunatna kotysanka. Historie uprowadzonych dzieci*, pierwszej wydanej w Polsce po 1989 roku publikacji podejmującej temat zrabowanych dzieci oraz *Komendant. Życie Salomona Morela*.

Katarzyna Kaczorowska

Przez prawie ćwierć wieku dziennikarka i redaktor w PolskaPress, obecnie redaktor naczelna *Głosu Uczelni*, pisma UPWr, ale też freelancerka, publikująca w *Magazynie TVN24*, *Newsweeku*, *Tygodniku Powszechnym*, aktualnie współpracuje z tygodnikiem *Polityka*. Autorka m.in. reportażu historycznego *80 milionów. Historia prawdziwa* oraz biografii Emilii Krakowskiej *Aktorzyca*.